

Czesław Osiołek - powolny, acz wielce dokładny kompozytor muzyki kameralnej - swe dopracowane w każdym detalu dzieła wystawiał raz na kilka lat. W międzyczasie ważył po kilkaset razy każdą nutę, tworzył od podstaw trzecie harmoniczne, cierpiał z powodu fałszywych podnośnych dźwięku i wyskakujących co raz alikwot - co nadawało jego samotniczemu życiu sens. Bez komponowania bowiem byłby nikim. No, może kierowcą wozu asenizacyjnego, który też na pewno by cierpiał, w kółko próbując jak najbardziej uszlachetnić wydobycie gówienka z szamba.

Inni kompozytorzy - koledzy Osiołka - brali w tym samym czasie mnóstwo chałtur, kupowali kolejne Bentleye czy Jaguary, stawiali nowoczesne wille z automatycznym sterowaniem wszystkich funkcji domu i cięli w krok kolejne tabuny atrakcyjnych - acz bardzo samotnych w trasie i poza nią - skrzypaczek i spragnionych wiolonczelistek, które przez cały czas niebezpiecznie balansowały dużym instrumentem pomiędzy niespełnionymi udami.

W tym samym czasie Osiołek, zamiast korzystać z życia, w zaciszu domowym z ukontentowaniem lekko podstrajał na komputerze dźwięki najbardziej utalentowanych solistek, by nuty śpiewane i harmonie stanowiły ideał muzyki.

Albowiem Czesław od zawsze kochał domowe zacisze. Za młodu rodzice - nie mająca czasu dla dziecka para lekarzy - zamykali go w szafie tak często, że w wieku jedenastu lat gotów był wierzyć, że jest garniturem.

**Dobra Cobra** przedstawia dziś opowieść piękną, dobrze nasiąkniętą warstwą muzyczną, w której ważne są: rytm, tempo, dynamika, harmonia, artykulacja i kolorystyka - co w połączeniu z melodią niechybnie ma doprowadzić do szczęścia Czytelnika i literackiego spełnienia, pt

### **Za późno na jagody**

#### Część 1

*Nie zdobędziesz mnie dniem*

*Nie zdobędziesz mnie nocą*

*Przyjdzie dzień, że ci dam*

*Gdy będziemy sam na sam*

*Ale nie bierz przemocą.*

(Piosenka polityczna, z repertuaru Piwnicy pod Baranami)

Pewnego roku wiosną Marriolla Grill - jedna z zespołowych waltornistek Osiołka - zakochała się w Czesławie do szaleństwa. Jednak jej wrodzona nieśmiałość nie pozwalała na zrobienie pierwszego kroku, w związku z czym biedną dziewczyną targwały wielkie wewnętrznie emocje. Toteż z powodu nieprzewycięzonego bólu oraz nieukojonego cierpienia na próbach zespołu często głośno wzdychała swą pełną piersią. Każdy inny mężczyzna zauważyłby od razu jej donośne oznaki wyraźnej opresji, ale nie Osiołek, który w tym czasie - dla oddania hołdu muzyce idealnej - godzinami torturował biedne dziewczęta, by te bez uciekania się do pomocy komputerowego strojenia zagrały właściwe tercje.

Waltornistka była córką Penelopy Grill - panny także nieśmiałej, dziedziczki wielkiej fortuny Grillów, zbudowanej wokół atawistycznej i nieprzeparłej chęci ludzkości do spędzania czasu przy palenisku. Cała rodzina Penelopy zginęła w dość tajemniczych - i do dziś niewyjaśnionych przez śledczych - okolicznościach wiele lat wcześniej podczas... no cóż... podczas grillowania.

Sama Penelopa była kobietą dość przedziwnej urody, coś jak skrzyżowanie krzywych nóg Amy Winehouse z rasową piersią aktorki Raquel Welch - jeśli oczywiście kojarzy się te osoby. Na dodatek miała duże problemy z asertywnością. I jak jakiś facet chciał umoczyć, to po prostu ulegała. By później w zaciszu wielkiego domostwa wyrzucać sobie godzinami, dlaczego znów bezwolnie poddała się indyferencji i chytrej samczej namowie.

Penelopa miała pieniądze, zatrudniła więc rośłego słuگو-ochroniarza z referencjami, o ciele wyrzeźbionym niczym Apollo, który będąc zawsze w pobliżu miał zwracać jej uwagę na podstępnych petentów. Gdy więc tylko zasiadała z mężczyzną, który prawil jej komplementy i prezentował swój cały pawi ogon, sługa bez skrępowania potrafił w najbardziej newralgicznym momencie krzyknąć na cały głos:

- Niech pani go nie słucha, bo on panią zaraz wyrucha!

I niósł się kwas wśród zazdrosnych zalotników jak kraj długi i szeroki. Aż wreszcie któregoś dnia ochroniarz zniknął i już więcej go nie widziano.

Nie zastanawiając się długo panna Grill także zrobiła to samo. To znaczy też zniknęła bez śladu, skazawszy nieślubną córkę Marriollę na samotne życie w bogactwie.

Opuszczona córka Penelopy Grill - Marriolla - pod wpływem rodzącej się kolorowej prasy, zapragnęła zostać wielką aktorką. Ale zapobiegliwa, choć nieobecna ciałem matka, zapisała jej niepodważalnym testamentem rodzinny biznes produkcji rusztów, usytuowany na bocznej uliczce w jednym ze sławnych górskich kurortów. Aktorskie marzenia dziewczyny z oczywistych powodów nie mogły się spełnić, ale co roku na pokrycie strat moralnych kupowała sobie nowiuteńkie Porsche. Zawsze jedno z tych większych i w w najbogatszej wersji wyposażenia.

Na szczęście Marriolla mogła skorzystać z furty, jaką zostawiła jej w ostatniej woli matka: nauki gry na waltorni. To uratowało jej psyche.

Czesław Osiołek był powolny i takie przesłanie szło w miasto. Nie nadawał się na terminowe roboty, w których chodziło o szybkość tworzenia dzieł niekoniecznie idealnych, bardziej schlebających pospolitym gustom, ale za to przynoszących duże pieniądze. Nie rozumiał, że cały świat stoi teraz komputerową naprawą źle zagranych nut, bo w obecnych czasach głównie z takimi wyzwaniem mierzył się świat muzyki. Któż jeszcze pamiętał, jak kilkadziesiąt lat wcześniej sławne zespoły wynajmowały studio na całe miesiące i - brzdąkając nieśpiesznie w instrumenty - oczekiwały nadejścia natchnienia.

Bliższe spotkanie trzeciego stopnia pomiędzy waltornistką Marriollą Grill i Czesławem Osiołkiem było dziełem czystego przypadku, który w muzyce dyrygenta nie występował. Mężczyzna wpadł na nią przypadkowo - podczas trzydniowego przymusowego urlopu od komponowania - gdy opalała się topless, ukryta przed wzrokiem niepowołanych w gęstej i niedostępnej kosodrzewinie. Gdy ich ciała zetknęły się, Czesław po raz pierwszy w życiu pojął, że w masie muzyków nigdy nie zauważał kobiet, a tylko same nuty i instrumenty. W tej jednej chwili, gdy upadł na dziewczynę, poczuł zadziwiająco wielką miękkość kobiecego ciała i jednocześnie przeżył życiowe zdziwienie, że wcześniej w ogóle nie poznał ich lekko kwaśnego zapachu.

W tamtym momencie spotkanie miało wielkie szanse przerodzić się w realne uczucie, jednak - jak na osobę pracującą w szosie biznesie - Czesław był niezwykle pruderyjny. Na dodatek - bardzo wystraszony pierwszym, a zarazem przedwczesnym wtryskiem, który zgiął jego zdrowe ciało w pół - szybko uciekł z miejsca spotkania. A Marriolla nie pobięła, by go zatrzymać, gdyż... była topless.

Przez kolejne miesiące ich miłości trwały znużone, ale za to czerstwe podchody, ośmielanie i przyzwyczajanie się do siebie. A gdy Osiołek był już trochę mniej dziki, zaczął pozwalać sobie na seks niepełny: z ejakulacją pozawaginalną.

Jednak któregoś dnia Mariola powiedziała dość i gdy zbliżało się kolejne męskie szczytowanie - co w wypadku Osiołka łatwo było rozpoznać, bo mimowolnie zaczynał wtedy lekko charczeć i nerwowo przewracać oczami - bez ostrzeżenia wsadziła Czesławowi palec w tyłek. Organoleptyczna stymulacja męskiego punktu G, położonego w okolicach wrażliwej na bodźce prostaty, dała mu niewyobrażalną rozkosz, która była nie do zastąpienia w zbliżeniu niepełnym. Na tę jedną, jedyną chwilę w życiu Osiołek stracił cielesną samokontrolę.

I tak się narodziłem.

To znaczy, naturalnie nikt nigdy nie opowiedział mi prawdziwej historii mojego poczęcia. Ale dla dobra opowieści, oraz kronikarskiej dokładności, należało ją opisać.

Gdy byłem już starszy, matka zdradziła, że rodząc mnie nigdy wcześniej ani później nie przeżyła podobnych katuszy, jak wtedy na sali porodowej. Trzydzieści cztery godziny nieustającego bólu spowodowały, że wręcz błagała lekarzy, żeby na siłę, jak najszybciej i za wszelką cenę wyjęli oporne dziecko z jej brzucha. Nawet gdyby to miało nastąpić za pomocą rozgrzanych do czerwoności szczypiec, kłapcęgów, haków czy innych narzędzi, znanych dobrze z kowalskiego portfolio nielegalnej aborcji. Byleby tylko poród nastąpił jak najszybciej.

Rozmiar mojej głowy podobno zadziwił nawet położne.

Matka nie mogła na mnie patrzeć i od razu oddała mnie lekarzowi na przechowanie. Wielogodzinne skurcze wyssały z niej wszystkie siły.

Po półrocznych bezustannych wrzaskach - spowodowanych zapewne złym odżywianiem się rodzicielki i związaną z tym moją nieodłączną kolką - przestałem wreszcie krzyczeć i zacząłem rosnać na chwałę rodziny. Od tamtego momentu z powodu wielkiego szczęścia oraz poczucia ulgi, rodzice wypijali co wieczór po kilka butelek cydru po czym padali na włochaty dywan.

Od zawsze kochałem domowe zacisze. Moi rodzice - artyści, nie mający czasu dla dziecka - zamykali mnie w szafie tak często, że w wieku jedenastu lat gotów byłem wierzyć, że jestem garniturem.

Oczywiście nie oszczędzono mi wieloletnich godzin lekcji pianina i śpiewu, obowiązkowych we wszystkich rodzinach muzyków. Szkoła, zajęcia dodatkowe i odrabianie prac domowych sprawiały, że nie miałem czasu na nic innego. Może to i dobrze, bo po mieście krążyły wtedy mroźące krew w żyłach opowieści, że władza wyłapuje objijające się po ulicach dzieci i wysyła je do pracy w kopalniach. Istotnie w tym czasie gazety często pisały, że dużo górników ginie z powodu tąpnięć, osunięć czy zawałów, prowadzono więc publiczną dyskusję, kto ich w przyszłości zastąpi.

Nieszczęśliwie zakochany w Rozalii, koleżance z liceum, wpadłem też w niebezpieczne zauroczenie siostrą Czarnej Marzeny - Mańką, która należała podówczas do miejskiego półświatka. Leniwie mijały dni, tygodnie i miesiące, a ja ciągle nic. I gdy pewnego dnia samotność dopiekała mi w sposób szczególny, obiecałem sobie wreszcie, że jak Mania będzie przechodziła obok naszego domu, to ją zagadam i może się zgodzi i będzie chciała ze mną chodzić. Nieszczęśliwie w tym samym czasie do naszego miasta zawitała plaga borsuków, roznoszących gruźlicę.

Nasuwało się podejrzenie, że przy tej okazji - oprócz wprowadzenia godziny policyjnej i zakazu wychodzenia z domu o zmroku - wielkomiejska elita proekologiczna będzie chciała także zlikwidować tradycyjnego zwyczaju puszczania fajerwerków, który odrzucała z powodów stricte kulturowych. Strzelanie na ulicach było bowiem „bastionem proletariackiej kultury wolności”, z którym cywilizowanemu mieszczaństwu nigdy nie było po drodze.

Z tych istotnych powodów - jak na złość - przez wiele tygodni siostry Czarnej Marzeny nie widywałem wcale.

## 5

I w taki sposób sprawiedliwie dzieliłem romantyczne uczucie między tymi dwoma pannami, nie zdając sobie jeszcze wtedy sprawy, że jako romantyczny kochanek nie miałem u nich żadnych szans. Dziewczyny fatalne - w których się durzyłem - wcale mnie nie kochały, bo bardziej wołały złych, wysportowanych i cynicznych kolegów. A taki wrażliwiec, jak ja, mógł tylko na to patrzeć i płakać.

Wtedy poznałem Snipetę Gaławąs, pierwszoklasistkę o zdrowej cerze i nogami krzywymi w iksa. Dziewczyna wypatrywała za mną na przerwach i codziennie rano czekała przed wejściem do szkoły, by zwrócić na siebie uwagę. Jednak moja nieśmiałość nie pozwoliła zagadnąć do niej ani razu.

- Jak dobrze się zakręcisz i zaprosisz Snipę na studniówkę, to ją zaliczysz - doradziła w sekrecie jedna z koleżanek. - Mogę pośredniczyć między wami, jak chcesz.

Podczas imprezy nie za bardzo potrafiłem zapanować nad nogami, taniec bowiem był dla mnie czarną magią już od czasu nieodwzajemnionej fascynacji baletem. W pewnym momencie Snipeta - coraz bardziej rozczarowana moją nieumiejętnością w tym względzie - w akcie wielkiej desperacji wykrzyknęła:

- Bzdura! Każdy umie tańczyć. Wystarczy tylko udawać stosunek seksualny, powstrzymując się przy tym od penetracji.

Takie oświadczenie sprawiło, że z powodu nieśmiałości natychmiast zamknąłem się w sobie i z opuszczoną głową szybko wybiegłem do kibla. Gdy wreszcie po upływie dość długiego okresu czasu odważyłem się stamtąd wyjść, usłyszałem jak na korytarzu jeden z kolegów oferował Snipecie wyjście na "chwilczkę zapomnienia". Do końca imprezy siedziałem przy stoliku sam.

Snipeta skutecznie zabiła we mnie pociąg do kobiet.

## 6

Jak każdy, mający rodzinne koneksje artystyczne, przez jakiś czas pozostawałem pod przemożnym urokiem homoseksualizmu. Ale musiałem z tymi marzeniami skończyć, bo tata i mama mieli dla mnie przeznaczoną inną drogę życiową.

Po skończeniu marnych studiów psychologicznych zostałem wysłany wraz z małą częścią rodzinnej fortuny do Londynu, aby tam - z dala od domu - rozpocząć dorosłe życie.

Swe pierwsze kroki skierowałem do prywatnego banku, którego nazwę zapisano mi przed odlotem na kartce. Wsiadając z taksówki na spokojnej Wilson Street nieśmiało wcisnąłem dzwonek, wiszący u pięknych, solidnych drzwi, ozdobionych głową jakiegoś ptaka i datą założenia: rok tysiąc osiemset trzydziesty trzeci. Niby angielski znałem całkiem ze szkoły nieźle, ale widać uznano, że bezpieczniej będzie, jak na miejscu przyjmie mnie rodak. Nie mogłem wiedzieć, że pan Okrzeja - Tuliburton był z dziada pradziada polskim nacjonalistą, lubiącym cygara, szampana, piękne niemieckie kurtyzany i... okrutne egzekucje. W pracy cenił bezwzględny zysk - im większy, tym lepiej się czuł wieczorem, siadając w fotelu przy szklaneczce wybornej whisky.

Okrzeja - Tuliburton - jeden z dyrektorów działu klienta zamożnego - przyjął mnie ze zbyt wielkimi honorami, zapewniając, że bank dołoży wszelkich starań, aby pomagać i czuwać nad moimi pieniędzmi w każdym momencie nadchodzącego życia na obczyźnie. Polecono mi skuteczne metody pomnażania powierzonego mi majątku, dokonano stosownych zabezpieczeń, wybrano najlepsze ubezpieczenie i fundusz emerytalny, wydano czarne oraz zwykłe karty kredytowe i wręczono kopertę z gotówką, niezbędną na start w samodzielnym życiu. Wreszcie podsunięto do podpisu niezbędne dokumenty i na koniec przedstawiono saldo rachunku.

W pierwszej chwili zaniemówiłem z wrażenia, bowiem dopiero teraz czarne na białym ujrzałem, jaką

kwotę przekazali mi do dyspozycji rodzice. Na początku była jedyńka, a później... same zera. Dużo samych zer. Nie chciałem być niedyskretny, więc opanowując drżenie ręki zacząłem je zliczać. Pomyliłem się chyba ze dwa razy, ale w końcu miałem wynik: zer było osiem. Wszystkie w funtach szterlingach.

Na początek musiałem znaleźć sobie lokum.

## 7

Następnego ranka, który nastąpił po bezsennej hotelowej nocy, otworzyłem internet i wpisałem w wyszukiwarce: *penthouse in London for sale*. Zostałem zauroczony pierwszym znalezionym mieszkaniem, położonym blisko gmachu angielskiego Parlamentu. Zajmowało całe ostatnie, dziesiąte piętro nowo wybudowanego apartamentowca i miało powierzchnię około trzystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Zamiast schodów mieszkanie posiadało prywatną windę, sunącą bezpośrednio z całodobowej, pięciogwiazdkowej recepcji budynku, położonej na parterze. Penthouse miał trzy duże, wygodne sypialnie - oddzielone od części dziennej dyskretnym korytarzem - każda z łazienką, wykończoną we włoskim kamieniu i obszerną garderobą. Oraz dwie kuchnie: jedna do praktycznego przyrządzania potraw, służącą także jako spiżarnia i miejsce na lodówki do wina. I druga - z małą kuchenką, ozdobnym blatem i miejscem na czajnik i ekspres do kawy.

Atutem mieszkania była ogromna jadalnia i jeszcze większy salon, zdolny pomieścić tylko na siedząco co najmniej dwadzieścia osób. Duży, częściowo zakryty taras wychodził na zachodnią stronę miasta: na koło London Eye i Tamizę. Miejsce było idealne umiejscowione pod względem transportu naziemnego, podziemnego jak i wodnego. Wszędzie było blisko: i do dobrych sklepów, i do wspaniałych restauracji i nowoczesnych kawiarni. Zaledwie cztery stacje metra dzieliły mnie od nocnych rozrywek oraz teatrów Covent Garden i Soho.

Kilka godzin później - po spotkaniu z moim aniołem stróżem: panem Okrzeją - Tuliburton - penthouse był już moją własnością. Zgodnie z poleceniem wybrałem najlepszą dla mnie formę zakupu - dzierżawę mieszkania na dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem lat. Dodatkowo poprosiłem o urządzenie całości w stylu, podobnym do wizualizacji, zamieszczonych na stronie internetowej. Do tego dołożyliśmy tryb ekspresowy, który dawał gwarancję wprowadzenia się do gotowych wnętrz najdalej w przeciągu miesiąca. Nie to, że wynajmowany przez ten czas hotel był jakiś zły czy niewygodny... Skwapliwie skorzystałem z podsuniętego mi założenia, że aby być wiarygodnym w interesach, należy posiadać zapierające dech w piersiach nieruchomości jak i ruchomości.

Do dyspozycji dostałem też trzy miejsca parkingowe pod budynkiem, postanowiłem więc zamówić jakieś fajne auto, by co pewien czas pokazać mój status na mieście. A jako, że to był czas spełniania marzeń i budowania wizerunku, swe pierwsze kroki skierowałem do pięknego salonu Ferrari na Berkeley Square. Kuszony przez sprzedawcę zamknąłem oczy i poprosiłem o pokazanie najnowszego modelu.

## 8

W międzyczasie poznawałem Londyn. Po kilku tygodniach miałem już jako takie pojęcie gdzie, co, jak i kiedy. Zachwycony wysoko stojącą sztuką kulinarną wybierałem coraz to nowe restauracje do odwie-

dzenia. Miejsca, gdzie podawali dobre jedzenie i panowała wyjątkowa atmosfera, odwiedzałem później wielokrotnie, automatycznie będąc rozpoznawany przez personel i stając się tam stałym bywalcem. Zwiedzałem też muzea, starając się w nich znaleźć odpowiedzi na pytania, nurtujące świat od zarania dziejów.

Życie nocne mnie nie pociągało, wolałem spędzać czas wolny na spacerach, a wieczory domatorsko w wygodnym mieszkaniu. Potrafiłem godzinami przesiadywać na tarasie, chłonąc tajemnicze odgłosy coraz bardziej mi znanego miasta. Zacząłem też bardziej dbać o siebie pod względem fizycznym. Zakupiłem zestaw kul kettlebell i wywijałem nimi cztery razy w tygodniu w swojej wielkiej sypialni. Na integracyjne uprawianie sportu było jeszcze w moim wypadku zwyczajnie za wcześnie. W sumie to nawet nie wiedziałem, czy wspólne ćwiczenia były tym, czego naprawdę pragnąłem.

Gdy tylko przeprowadzka do apartamentu została zakończona, szybko przystąpiłem do zakupu elegancji, acz stonowanej garderoby. U znanych krawców zamówiłem dwa garnitury szyte na miarę. W specjalizowanych sklepach z odzieżą wybrałem kilka marynarek na różne okazje, do tego ze dwieście koszul, kilkanaście par butów, cztery płaszcze, kilka kurtek na różną pogodę, dziesiątki par skarpet i wiele innych męskich dodatków.

Spizarnię szybko zapełniłem znakomitymi alkoholami, polecanymi przez lokalne poradniki: najlepszym winem z różnych części świata, ginem oraz łagodną whisky. W salonie ustawiłem zgrabny humidor, zdolny przechować jednocześnie nawet setkę najlepszych cygar.

Oczarowany pięknymi londyńskimi składami, oferującymi wyspecjalizowane towary, postanowiłem zostać sklepikarzem. Do obsługującej moje interesy prawników i ubezpieczycieli doszła jeszcze polecona firma księgową, zajmująca się odpowiednio zamożną i zdecydowaną finansowo klientelą.

Bank wynalazł mi odpowiednio dużą powierzchnię, położoną w bardzo dogodnym miejscu, o kilka minut drogi spacerem od Picadilly Circus. Łowcy głów sprawnie wyszukali najodpowiedniejszy personel z doświadczeniem w sprzedaży, a z babką - która miała zostać kierownikiem sklepu - od razu znalazłem wspólny język. Uradowany tak dobrym obrotem sprawy sprawiłem jej niespodziankę i zleciłem wypłacenie trzech pensji w tył, mimo, że dopiero zaczynała u mnie pracę. Jej szczęśliwy wyraz twarzy był nieocenionym widokiem. W taki sposób zyskuje się zaufanie personelu.

Prawnicy w imieniu sklepu wystąpili o koncesje na sprzedaż alkoholu, załatwili całą papierkową robotę, związaną z założeniem firmy i tysiącem innych spraw w różnych angielskich urzędach. Wynajęli także firmę informatyczną, która postawiła bardzo ładną stronę internetową i opiekowała się wszystkimi aspektami technicznymi przedsięwzięcia.

Jesienią marka Osio Spirits zaczęła robić duże zamieszanie na rynku dobrych alkoholi.

C. d. n w części 2

Dobra Cobra

Luty 2022

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Dobra Cobra, dodano 08.04.2022 15:05

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).